ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

3 MINUTY

ALBATROS

Zapowiadał się dobry dzień. Czasem już z góry wiadomo, że tak będzie.

Ciepły jak wczoraj, ciepły jak jutro. W taki dzień łatwiej się oddycha. Niedawno padał deszcz. Camilo powoli nabiera powietrza, zatrzymuje je w płucach i po trochu wypuszcza.

Wysiada z miejskiego autobusu, który kiedyś był pomalowany na czerwono i godzinę temu odjechał z przystanku w San Javier, Comuna 13. To dzielnica, w której stoją wieżowce i niskie domy. Część budynków nie ma całych ścian i znajduje się w dużej odległości od tego miejsca. Niektórzy twierdzą, że to brzydka dzielnica, ale on ma inne zdanie. Nic dziwnego, mieszka tam od urodzenia, to znaczy od dziewięciu lat. Zapachy są tam inne, nie takie jak tu, w centrum. Tutaj pachnie w nieznany, fascynujący sposób. Duży targ pewnie był tu od zawsze, podobnie jak stoiska z rybami, mięsem, warzywami i owocami, a także maleńkie restauracje dla trzech albo czterech gości. A ludzie, którzy się tutaj cisną, przepychają, tłoczą… Chyba nie wszyscy mieszkają tu od zawsze. Ludzie się rodzą, umierają, a ich miejsce zajmują inni. Teraz przebywają tu tylko ci, których widzi, ale gdy będzie starszy i większy, niektórych z nich już nie będzie, a ich miejsce zajmą nowi. Tak to się toczy.

Camilo przechodzi przez rynek, przeciska się przez tłum ludzi i kieruje w stronę La Galería. Ludzi jest jeszcze więcej niż w miejscu, gdzie stał poprzednio. Trochę tu brudno, ale jabłka, gruszki, banany i brzoskwinie, których stosy leżą na straganach i mają różne kolory, sprawiają, że to miejsce wygląda napraw-

dę ładnie. Camilo zderza się ze starszym mężczyzną i ten go beszta. Gdy podchodzi zbyt blisko toreb z dużymi, ciemnymi winogronami, owoce sypią się na ziemię. Camilo podnosi je i zjada tyle, ile zdąży, zanim skrzyczy go kobieta podobna do jego mamy. Słyszy te same przekleństwa, którymi obsypał go starszy mężczyzna, ale nie zwraca na nie uwagi, bo jest już przy następnym stoisku, a po chwili przy kolejnym. Kiedy mija ostatnie skrzynki z rybami i roztopionym lodem – akurat ten zapach nie jest zbyt przyjemny, bo zdechłe ryby nie lubią ciepła i jeśli nie zostaną sprzedane przed południem, śmierdzą jeszcze bardziej – wie, że jest prawie na miejscu. Jeszcze tylko kilka kroków i w końcu widzi gromadkę chłopców. Siedzą na drewnianych ławkach i krzesłach przy ciężkich stołach, które nie należą ani do sprzedających, ani do kucharzy. Ktoś je po prostu ustawił na samym końcu placu. Dalej nie ma już nic. Chłopcy niczego konkretnego nie robią, tylko siedzą i czekają. On ma dopiero dziewięć lat, więc nie wysiadywał tu aż tak często jak oni, ale zachowuje się tak samo, jak wszyscy: siada na wolnym miejscu z nadzieją, że dzisiaj dostanie zlecenie. Do tej pory jeszcze nikt go nie zatrudnił. Pozostali chłopcy są trochę starsi od niego, mają po dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście lat. Dwaj z nich skończyli czternaście lat i przechodzą mutację. Ich głosy jakby przecinają powietrze, tracąc w nim oparcie, a gdy chłopcy zaczynają mówić, dźwięki wymykają im się z ust i rozchodzą na wszystkie strony. On też chce kiedyś być taki jak oni i zarabiać pieniądze, jak na przykład jego brat, Jorge. Jorge jest od niego starszy o siedem lat. Właściwie był, bo już nie żyje. Kiedyś w ich domu zjawili się policjanci. Poinformowali mamę, że w Río Medellín znaleziono zwłoki. Podejrzewali, że to jej syn, i dlatego przyszli spytać, czy mama mogłaby pojechać z nimi na identyfikację. Okazało się, że mieli rację. To był Jorge. Nie leżał w wodzie zbyt długo, więc można go było jeszcze rozpoznać.

– Cześć.

Camilo wita się. Robi to tak niepewnie, że wydaje się, że pozostali chłopcy nie tylko nie słyszeli jego pozdrowienia, ale nawet go nie zauważyli. Mimo to siada na brzegu jednej z ławek, na której siedzą inni chłopcy w jego wieku. Przyjeżdża tu

w każde popołudnie po lekcjach. Chłopcy z mutacją, którzy tu bywają, w ogóle nie chodzą do szkoły. Nikt ich nie zmusza, więc spędzają tu całe dnie i czekają. Dużo ze sobą rozmawiają, czasem się śmieją, ale cały czas zerkają w stronę otwartej przestrzeni między ostatnimi straganami. Po jednej stronie leżą na nich stosy kalafiorów i główki białej kapusty przypominające miękkie futbolówki, po drugiej – wielkie ryby z oczami, które patrzą na niego, gdy przechodzi obok. Chłopcy zerkają w tamtą stronę i udają, że nie ma tam nic szczególnego, chociaż każdy z nich wie, że pozostali tylko udają, że tam nie patrzą. Prawda jest taka, że w rzeczywistości patrzą tylko w tamtą stronę, bo to zazwyczaj stamtąd przychodzą ONI, dlatego trzeba być w ciągłej gotowości. ONI to znaczy *clientes*. Tak ich tu nazywają.

Camilo głęboko oddycha i czuje, jak w jego żołądku tworzy się chmura – biała, puszysta i lekka. Jakby lekko wiało. Przyjemne uczucie obejmuje całe ciało, serce bije mu szybciej, a zaczerwienione policzki przybierają ciemniejszą barwę.

Dzisiaj. Tak bardzo mu na tym zależy.

Od samego rana czuł, że dzisiaj dostanie pierwsze zlecenie. Będzie miał to za sobą. Potem – jeśli je wykona, jak – stanie się mężczyzną. Na zawsze.

Na dworze robi się coraz duszniej, ale on nie ma kłopotów z oddychaniem. Miasto leży na wysokości pięciuset metrów nad poziomem morza. Większość z tych, którzy tu przychodzą za dnia – najczęściej są to klienci – skarży się na brak tlenu. Próbują wciągnąć go więcej do płuc, aż mają wrażenie, że płuca im się kurczyły.

Jest! Pierwszy *cliente*.

Camilo widzi go w tym samym momencie, co pozostali chłopcy. Przeciąga się tak jak oni, wstaje z ławki i razem z nimi pędzi w jego stronę, a potem razem z nimi tłoczy się wokół niego. Mężczyzna jest gruby i łysy, ubrany w czarny garnitur i czarny kapelusz, oczy ma małe, ptasie, o czujnym spojrzeniu. Przygląda się tłumowi chłopców, którzy go otaczają i wyciągają do niego ręce. W końcu wskazuje na jednego z nich. Chłopak skończył jedenaście albo dwanaście lat i ma już na swoim koncie takie zlecenie. Po chwili obaj odchodzą z placu.

Cholera! Camilo przełyka łzy. Pewnie więcej *clientes* dziś nie będzie.

Przecież to była jego kolej.

Upływa kolejna godzina i jeszcze jedna. Camilo ziewa i obiecuje sobie, że nawet na moment nie zamknie oczu, liczy, ile razy w ciągu minuty uniesie i opuści lewą rękę, nuci jakąś śmieszną, dziecięcą piosenkę. To jedna z tych, które nie dają spokoju, gdy się je gdzieś usłyszy.

A więc dzisiaj też wróci bez zlecenia.

I wtedy widzi, że ktoś jednak idzie.

Jest pewien.

Mężczyzna kroczy zdecydowanym krokiem prosto w ich stronę.

A więc jednak ktoś przyszedł.

I znowu powtarza się poprzednia sytuacja. Chłopcy biegną w jego stronę, tłoczą się wokół niego i wyciągają ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mężczyzna jest silnie zbudowany, ale nie gruby, jak ten pierwszy, tylko raczej barczysty. Indianin albo Metys. Camilo od razu go rozpoznaje. Pochodzi z Cali i jest starszy od jego taty. Tak mu się w każdym razie wydaje, bo przecież nigdy taty nie widział, a mama niewiele o nim mówi. Indianin, a właściwie Metys, daje zlecenia zazwyczaj Enrique, ale ten od pewnego czasu nie przychodzi na plac. Enrique miał już siedemnaście takich zleceń.

Chłopcy czekają z nadzieją. Zazwyczaj na placu zjawia się dwóch klientów, więc to ostatnia okazja tego dnia. Za chwilę rozejdą się do domów i znowu się okaże, że niepotrzebnie tracili czas. Otaczają więc Metysa i udają dorosłych. Ten przygląda im się uważnie.

– Wszyscy już to robiliście?

Chłopcy potwierdzają zgodnie.

– *Sí!*

Tylko Camilo milczy. Nie może podnieść ręki i potwierdzić, bo musiałby skłamać, a tak nie wolno. Za to inni chłopcy wykrzykują, że mają na swoim koncie osiem… dwanaście… dwadzieścia jeden zleceń. W końcu mężczyzna zatrzymuje wzrok na nim.

– A ty? – pyta.

– Nigdy… to znaczy jak na razie.

Camilo jest pewien, że mężczyzna patrzy już tylko na niego.

– W takim razie swoje pierwsze zlecenie dostaniesz ode mnie. I to zaraz.

Camilo prostuje się, żeby wyglądać na wyższego, i próbuje zrozumieć, że to, co właśnie usłyszał, jest prawdą: dzisiaj zrobi to po raz pierwszy, a jutro, gdy będzie szedł między straganami, wszystko będzie inne. Chłopcy popatrzą na niego z szacunkiem, bo swój pierwszy raz będzie miał za sobą.

Samochód stoi źle zaparkowany w pobliżu placu, przed La Galería. Mercedes klasy G, czarny i kanciasty. Na dachu ma chyba ze cztery wielkie reflektory. Są szerokie i solidne, można je obracać w różnych kierunkach. Do tego mocne szyby, przez które nic nie widać, nawet przez przednią. Camilo wie, że są kuloodporne. W samochodzie pachnie zwierzętami, bo nowe wozy tak pachną. Siedzenia są miękkie, zrobione z białej skóry. Metys przekręca kluczyk i samochód prawie bezszelestnie rusza. Camilo zajmuje miejsce w fotelu dla pasażera. Co jakiś czas, kiedy mu się wydaje, że Metys tego nie widzi, zerka na niego. Mężczyzna jest tak wysoki, że głową prawie dotyka sufitu. Kwadratowa twarz, kwadratowe ciało… w pewnym sensie przypomina samochód, który prowadzi. Ma krótki, gruby warkocz, kojarzący się ze spalonym bochenkiem chleba, związany gumką ze złotymi, błyszczącymi nićmi. Nie odzywają się, dwadzieścia minut jadą przez miasto, które zmienia kształt – zniszczone i brudne staje się zadbane i drogie, by potem znowu zmienić się w zniszczone. Przejechali przez Carrera 43A i zjechali w węższą ulicę, która na pewno ma jakąś nazwę, ale brakuje oznakowania. W końcu samochód zatrzymuje się. Camilo szuka wzrokiem tabliczek z nazwami ulic. Stoją na skrzyżowaniu Carrera 32 i Calle 10. W tej okolicy znowu robi się drogo. Dzielnica nazywa się El Poblado, ale on nigdy tu nie był. Ładnie, powiedziała jego mama. Pewnie: ludzie mieszkają tu we własnych domach, mają własne trawniki i po dwa samochody na podjeździe, chociaż do centrum wcale nie jest daleko.

Z tego miejsca dom jest dobrze widoczny, za to ich nikt nie widzi. Metys wskazuje palcem.

– To tam – mówi. – Ona stoi w oknie, na samym końcu. To twoje zadanie.

Camilo widzi kobietę. Kiwa głową. Bierze ręcznik, kładzie go na kolanach i rozwija. Patrzy na broń. To zamorana – wyprodukowany w Wenezueli, piętnastostrzałowy pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Takie rzeczy się wie. Jorge prawie wszystkiego go nauczył.

– Wiesz, co robić? – pyta Metys.

– Tak.

– Jak strzelasz?

– Robiłem to wiele razy.

Camilo nie kłamie. Naprawdę ćwiczył strzelanie z Jorge, z takiego samego pistoletu, tylko tamten był stary. Jorge pożyczył go od kogoś, kogo on, Camilo, nigdy nie widział. Strzelali na pustyni za miastem, w La Maiala.

– To dobrze. Spotkamy się za dwie godziny. W tym samym miejscu, przed tą samą galerią. Dotrzesz tam sam.

Camilo czuje, że serce wali mu jak młotem. Rozsadza go radość, nadzieja, ale również strach i podniecenie.

Sicario – płatny morderca.

Kiedy wóz zniknął za rogiem, podchodzi do kępy rosnących przy drodze drzew i siada pod jednym z nich. Będzie mógł stąd obserwować dom, okno i kobietę, która w nim stoi i niczego się nie spodziewa.

Ma zieloną sukienkę. Nie jest aż tak stara, jak myślał. Kobieta wchodzi do kuchni i robi coś, czego on nie widzi. Camilo przykręca do lufy tłumik, tak jak nauczył go Jorge, i wsuwa pociski do pięciu komór magazynka, który też był owinięty w ręcznik. Teraz musi się tylko skupić.

Jorge zwykł mawiać: skoncentruj się, braciszku, oddychaj powoli i zamknij oczy, myśl o czymś, co lubisz. Dlatego teraz będzie rozmyślał o łodziach. Lubi duże żaglówki, które płyną z wiatrem – powoli, jeśli wiatr jest słaby, i szybko, jeśli wieje mocno. Nigdy w życiu nie żeglował, ale tak często o tym myślał, że jest pewien, że wie, jakie to uczucie.

Za dwie minuty będzie po wszystkim.

Wstaje z chodnika, wkłada pistolet za pasek spodni i spraw-

dza, czy zakrywa go koszula. Potem podchodzi do drzwi wejściowych budynku, który wskazał mu Metys.

Krata. Drzwi bezpieczeństwa. Grube, z dodatkowym zabezpieczeniem. Już kiedyś takie widział. Sięga do dzwonka i naciska go.

Kroki. Ktoś się zbliża, patrzy przez wizjer. Camilo widzi cień.

Wyjmuje zza spodni pistolet, naciska mały guzik znajdujący się przy kolbie i odbezpiecza go w chwili, gdy kobieta zdejmuje łańcuch i otwiera drzwi. Nie bała się. Przecież zobaczyła dziewięcioletnie dziecko.

Camilo patrzy jej w oczy, tak jak opisywał to Jorge. Unosi pistolet i celuje w górę, bo kobieta jest od niego znacznie wyższa.

Pistolet trzyma dwiema dłońmi, tak jak uczył go Jorge.

Pociąga za spust. Dwa razy.

Pierwszy pocisk trafia kobietę w klatkę piersiową i odrzuca ją w tył. Kobieta chwieje się i patrzy na niego zdumionym wzrokiem. Camilo oddaje drugi strzał. Tym razem celuje w głowę.

Kobieta osuwa się na podłogę jak liść opadający z drzewa. Jest oparta plecami o futrynę, w czole ma dziurę, z której tryska krew. Nie upada jednak na plecy ani na bok. Jest zupełnie inaczej, niż Camilo to sobie wyobrażał, nie tak jak na filmach.

Kiedy jest po wszystkim, wsiada do autobusu i zajmuje miejsce z tyłu. Czuje się tak jak niedawno – serce bije mu jak młotem ze szczęścia i podniecenia, ale już się nie boi. Wykonał swoje pierwsze zlecenie. Będzie to po nim widać, wie o tym, bo przecież codziennie widzi innych chłopców.

Samochód czeka na niego w tym samym miejscu, w pobliżu placu. Metys siedzi za kierownicą, gruby warkocz spada mu na plecy. Camilo puka w boczną szybę i drzwi od strony pasażera otwierają się.

– Załatwione?

– Tak.

Metys odbiera od niego pistolet i wyjmuje z niego magazynek. W środku są jeszcze trzy pociski.

– Zużyłeś dwa naboje?

– Tak. Jeden w pierś, drugi w czoło.

On. *Sicario*.

Wsiada do autobusu, a ponieważ tył jest zapełniony, zajmuje jedyne wolne miejsce, tuż za kierowcą. Oddał pistolet i ręcznik, dostał dwieście dolarów. Policzki ma ciepłe i zaczerwienione. Dwieście dolców! W prawej kieszeni! Banknoty są tak samo ciepłe jak policzki, palą go w udo, jakby chciały się wydostać na zewnątrz, pokazać się wszystkim pasażerom, którzy tego wieczoru jadą autobusem i nie mają w kieszeniach dwustu dolarów, nawet gdyby policzyć ich razem.

Sześć stref położonych wzdłuż Río Medellín tworzy szesnaście gmin i dwieście czterdzieści dziewięć *barrios*. Camilo jedzie do San Javier, na zboczu Comuna 13. Jest tam jego dom. Tyle razy tędy jechał, z mamą i z Jorge albo sam, ale nigdy przedtem nie czuł się tak jak teraz. Rozsiada się wygodniej na twardym siedzeniu i rozmyśla o domu: jest w nim ciasno, panuje w nim hałas i bałagan. Wysiądzie na ostatnim przystanku, pobiegnie do domu i jeszcze zanim go zobaczy, zacznie wołać „Mamo, będziemy mieć lodówkę, przecież obiecałem, że załatwię" i da jej połowę pieniędzy. Już widzi, jaka będzie z niego dumna. Potem pójdzie do sypialni, gdzie znajduje się jego tajny schowek – płaskie blaszane pudełko po czekoladkach. Włoży do niego drugi banknot studolarowy – swoją pierwszą setkę.

Gdy świt przechodzi w dzień, gdy lipiec staje się sierpniem, a koniec początkiem…

Piet Hoffmann opuścił boczne szyby kabiny ciężarówki i od razu zrobił się przeciąg. Nie było jeszcze ósmej, ale z powodu upału czuł ucisk w skroniach. Lśniące strużki potu ściekały mu po ogolonej głowie. W kabinie huczał wiatr.

Gdy koniec starego staje się początkiem nowego i dlatego nigdy się nie kończy. Właśnie mijają trzy lata, od kiedy przybył do kraju, w którym nigdy przedtem nie był.

Ucieczka. Pustka. Życie, które stało się walką o przeżycie.

Zmniejszył nacisk stopy na pedał gazu i tak, jak uzgodnili, zredukował prędkość do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sprawdził odległość dzielącą go od jadącej przed nim ciężarówki. Dwieście metrów, tak ustalili.

Od kiedy zjechali z drogi krajowej numer sześćdziesiąt pięć, upłynęło dużo czasu. Po lewej stronie, wśród gęstych krzewów, płynęła Río Caquetá wyznaczająca granicę z prowincją Putumayo. Towarzyszyła im od godziny i chociaż trzymała się na odległość, uparcie ich nie odstępowała. Hoffmann żuł liście koki, które pozwalały mu zachować czujność. Pił też białą herbatę, która go uspokajała. Od czasu do czasu, przed każdą dostawą, wypijał mieszankę, którą wciskał mu El Mestizo. Była to jego własna wersja colady z mąki, wody i cukru, do tego mnóstwo kubańskiego espresso. Napój smakował okropnie, ale działał. Znikały głód i zmęczenie.

Wiele razy, zwłaszcza w ostatnim roku, sądził, że koniec naprawdę oznacza koniec, że istnieje szansa na powrót do domu. Do Europy, do Szwecji, do Sztokholmu, który dla niego, Zofii, Rasmusa i Emila był całym wspólnym światem. Niestety, za każdym razem szansa wymykała mu się z rąk, pustka coraz bardziej się pogłębiała, a on znowu musiał uciekać.

Dziś wieczorem znowu ich zobaczy. Kobietę, którą kocha, chociaż nie sądził, że umie kochać, i dwójkę chłopców, których kochał chyba jeszcze bardziej. A przecież nigdy nie chciał mieć dzieci. Czasem, gdy próbował sobie przypomnieć, jak to było, gdy tego wszystkiego nie miał, w jego głowie robiła się pustka, jakby te wspomnienia w ogóle nie istniały.

Lekko zahamował, bo podjechał za blisko ciężarówki. Powinien zachować stałą odległość. To ważna zasada. To on odpowiada za bezpieczeństwo obu wozów. Żeby ich przepuszczono, musieli zapłacić. W takich miejscach chłopcy dorastają i marzą o tym, aby zostać policjantami albo wojskowymi, ale nie dlatego, że chcą łapać bandytów albo chronić ludzi, tylko dlatego, że policjanci i wojskowi mogą dorobić do skromnego wynagrodzenia mnóstwo pieniędzy, biorąc od takich jak oni wysokie łapówki.

Wczoraj zajmował się ochroną. To samo dzisiaj i jutro. Transporty, ludzie. Dopóki robi to lepiej od innych, nikt nie będzie kwestionował jego metod. Gdyby El Mestizo albo ktoś z PRC choć na chwilę zwątpił, czy jest tym, za kogo się podaje, gdyby odkryto jego prawdziwą tożsamość, on, Zofia i ich synowie natychmiast straciliby życie. Dlatego każdego dnia i w każdej sekundzie musiał grać swoją rolę.

Zasunął szyby, bo upał nieco zelżał. Przeciąg osuszył strumienie potu pod sprzętem, którym był obwieszony. Miał na sobie kuloodporną kamizelkę z dwiema kieszeniami, które sam naszył. Trzymał w nich odbiornik GPS ze współrzędnymi tras i telefonem satelitarnym z zasięgiem w całej dżungli. W kaburze trzymał pistolet z fabryki w Radomiu z czternastoma pociskami w magazynku. Przyzwyczaił się do niego podczas kilkuletniej pracy pod przykryciem w polskiej mafii. Płaciły mu za to władze Szwecji. W dodatkowej kaburze pod pachą trzymał nóż myśliwski z drewnianą rękojeścią, który

tak dobrze leżał mu w ręce. Niedawno naostrzył klingę. Ma ten nóż od bardzo dawna, jeszcze zanim go skazano i zanim trafił do więzienia. Takim nożem można wyrządzić naprawdę wiele zła. Na bocznym siedzeniu leżał karabin, Mini Uzi ze składaną kolbą. Szybkostrzelność – dziewięćset pięćdziesiąt pocisków na minutę. Nie za długi, tak jak lubił, i dobrze leżał mu w dłoni. Na pace za kabiną wiózł karabin Psg 90 przymocowany do burty dwoma hakami. Zabierał go zawsze, gdy w trasę wyjeżdżali ciężarówkami. Takiej broni używają strzelcy wyborowi. Na każdą sztukę broni miał licencję wystawioną przez El Cavo z Bogoty. Kosztowało go to odpowiednio dużo zwitków banknotów.

Wreszcie minęli niemalowaną szopę stojącą przy drodze, tuż przed wysokimi drzewami, które od dawna były martwe i nagie – pozbawione kory gałęzie zdawały się czekać na coś, co nigdy nie przyszło. Za szopą skręcą w prawo, przejadą dziesięć kilometrów po żwirowej błotnistej drodze, zbyt wąskiej i pełnej nieregularnych, głębokich na pół metra dziur wypełnionych wodą. Pieprzone kartoflisko. Trzydzieści kilometrów na godzinę, bo szybciej po tych wertepach się nie da. Podjechał bliżej ciężarówki, zmniejszając dystans o połowę. Dzieliło ich jakieś sto metrów.

Nigdy wcześniej nie transportował towaru do tej *cociny*. Zresztą to nieważne, bo wszystkie i tak wyglądały tak samo i pełniły tę samą funkcję: z liści koki ekstrahowano ponad sto kilogramów proszku na tydzień. Została im godzina jazdy przez tereny zapomniane przez Boga i kontrolowane przez partyzantkę PRC. Kiedyś rządziła tu FARC. Są tu laboratoria należące do PRC albo tych, którzy dzierżawią od PRC ziemię i płacą haracz za zgodę na uprawę i produkcję. Na samym początku wydawało mu się, że wszystkim rządzi mafia. W takiej świadomości dorastał, tak powstają mity, które później się utrwalają. Teraz już wiedział, że to nieprawda. Być może mafia rządzi w Kolumbii i śpi na pieniądzach, ale bez tych, którzy rządzą w dżungli, przestałaby istnieć. Mafia, państwo, grupy paramilitarne i wiele innych organizacji, które wzajemnie się zwalczają. Jednak bez PRC nie mają żadnej władzy, bo żeby wyprodukować kokainę,

potrzebne są lasy i liście koki. Nie da się ich uprawiać na terenach kontrolowanych przez partyzantów bez ich zgody.

– Cześć.

Miał zadzwonić później, ale bardzo tęsknił za jej dłońmi, którymi dotykała jego policzków. Za jej spojrzeniem, w którym dostrzegał, że dobrze mu życzy, kocha go, wiele wytrzymała i wciąż mu ufa.

– Cześć.

Ostatnim razem nie odzywał się przez siedem dni. Teraz było podobnie, ale tak to właśnie wygląda – duże odległości, długie czekanie, długie noce. Wytrzymywał tylko dlatego, że i ona wytrzymywała. Nie mieli wyboru. Gdyby go tu nie było, nie mieliby z czego żyć. Powrót do Szwecji oznaczałby dla niego więzienie. A jeśli przestanie odgrywać swoją rolę, umrze.

– Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też.

– Zobaczymy się dziś wieczorem, a może nawet po południu.

– Całuski.

Powinien coś odpowiedzieć, ale połączenie zostało przerwane. Czasem tak bywa. Zadzwoni później.

Wąska droga przypominała momentami ścieżkę. Coraz bardziej się zwężała, za to dziury robiły się coraz szersze. Hoffmann z trudem utrzymywał właściwą odległość. Czasem pierwszy samochód znikał mu za zakrętem albo za wzniesieniem. Właśnie udało mu się wyciągnąć z dziury tylne koło, gdy daleko przed sobą ujrzał dwa światła hamulcowe. W ostrych promieniach słońca błyszczały jak para czerwonych oczu. Błąd. Pierwsza ciężarówka nie powinna zwalniać ani się zatrzymywać. Nie tu i nie teraz. To on zaplanował całą marszrutę i on za wszystko odpowiada. Wyraźnie mówił, że nie powinni bez uprzedzenia zwalniać do dwudziestu pięciu na godzinę.

– Uważajcie.

W posrebrzanym odbiorniku usłyszał głos El Mestizo. Hoffmann pokręcił potencjometrem, żeby go lepiej słyszeć.

– Zatrzymaj się.

Hoffmann zahamował i zatrzymał się, tak jak El Mestizo, który stał jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów przed nim. Dopiero teraz zobaczył, co się stało, chociaż widok przesłaniał mu krzaki i ostry zakręt. Drogę zagradzał im ustawiony w poprzek ciemnozielony wóz terenowy. Było ich tam więcej. Hoffmann doliczył się czterech pojazdów wojskowych. Stały w rzędzie, tworząc półkole przypominające uśmiech, który rozciągał się od jednego drzewa do drugiego.

– Czekaj…

W odbiorniku rozległy się głośne trzaski i zagłuszyły słowa El Mestizo, który przepiął mikrofon wielkości szpilki na kołnierz koszuli i przełączył go na nadawanie.

Hoffmann nie wyłączył silnika, tylko wpatrywał się w stojący w poprzek drogi pojazd. Może to zwykli żołnierze? Tylko skąd? Przecież już dostali swoją dolę. A jeśli to jakaś grupa paramilitarna? W takim razie mają problem. El Mestizo nie ma takich jak oni na swojej liście płac.

Nagle drzwi samochodów otworzyły się i jak na komendę zaczęli z nich wyskakiwać żołnierze w zielonych mundurach. Byli uzbrojeni w broń automatyczną, ale na razie zachowywali się spokojnie. Hoffmann dopiero teraz się zorientował.

To nie była żadna grupa paramilitarna, bo ci mieli inne mundury. Odetchnął z ulgą. El Mestizo pewnie też, bo jego głos nie był już taki ochrypły. Robił się taki tylko wtedy, gdy Metys stawał się czujny albo coś wzbudzało jego podejrzliwość.

– Wiem, kim są. Odezwę się.

Drzwi kabiny ciężarówki, w której jechał El Mestizo, otworzyły się. Był on ciężkim, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Mimo to lekko zeskoczył na gliniaste podłoże.

– Kapitanie Vásquez… Co tu się dzieje?

Nadajnik na kołnierzu przestał trzeszczeć, dźwięk był teraz jasny i czysty. Także wtedy, gdy nastąpiła przedłużająca się cisza. W końcu Vásquez rozłożył ręce.

– Jak to co się dzieje?

– Twoje wozy tarasują nam drogę.

– Mmm… Zgadza się. Właśnie to robimy.

W tonie jego głosu było coś, co Hoffmannowi wcale się nie podobało. Czegoś w nim brakowało: rezonansu, głębi. Kiedy człowiek chce zrobić coś złego, nieświadomie napina struny głosowe, co wpływa na sposób artykułowania dźwięków. Hoffmann uniósł się ostrożnie z siedzenia, otworzył tylną szybę i wydostał się przez okno na pakę okrytą plandeką. Karabin wisiał na dwóch zaczepach. Uwolnił je, rozłożył podstawek, położył się i wysunął lufę przez specjalnie do tego celu zrobiony otwór w brezencie.

– Za wszystko zapłaciliśmy.

– Za mało.

Dzięki lunecie wszystkich miał na muszce. Wydawało mu się, że stoi blisko nich, a nawet między nimi: El Mestizo po jednej stronie, kapitan Vásquez po drugiej.

– Dostałeś tyle, ile chciałeś, Vásquez.

– Powtarzam: to za mało.

Hoffmann widział ich z bliska, wydawało mu się, że mógłby dotknąć twarzy El Mestizo, a właściwie Johnny'ego, bo coraz częściej tak go nazywał. Twarz mu lśniła, jak zawsze, gdy wyjeżdżali z Cali albo z Bogoty do dżungli. Miał zacięte usta i oczy myśliwego. Kiedyś go przerażały, ale nauczył się je lubić, chociaż często z łagodnych zmieniały się w bezwzględne. Widział też twarz Vasqueza – czarne jak węgiel gęste wąsy, z których kapitan tak bardzo był dumny, i brwi sterczące jak dwie anteny. Wyglądał jak zawsze, a zarazem inaczej. Jego głos miał inne brzmienie, ruchy też były inne – nie popędliwe i porywcze, lecz pewne. Powolne, zbyt mocno akcentowane, jakby chciał, żeby rozmówca skupił całą uwagę na nim. Był inny niż wtedy, gdy z nim negocjowali, a za to, żeby przepuścił bez kontroli trzy transporty, odpalili mu dolę w brudnej restauracji za kościołem w miejscowości Florencia. Wtedy Vásquez zjawił się w cywilnym ubraniu, wyglądał na podenerwowanego, poruszał się niepewnie, mówił przerywanym głosem. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy rozerwał kopertę i mrucząc coś do siebie, przeliczył banknoty.

– Nie powiedziałeś mi, że transport będzie tak duży. Okłamałeś mnie.

– Zawarliśmy umowę.

– Nie wiedziałem, że transport będzie tyle wart. Teraz już wiem.

Hoffmann obserwował ich przez lunetę na karabinie. Skupił uwagę na oczach El Mestizo. Już wiedział, że za chwilę dokona się w nich zmiana. Za każdym razem odbywało się to w przyspieszonym tempie: powiększone źrenice, które szykowały się do ataku i dlatego musiały zgromadzić więcej światła i siły.

– Żartujesz? Już dostałeś zapłatę.

– Chcę tyle samo jeszcze raz. – Vásquez wzruszył ramionami i wskazał ręką na ciężarówki i stojących przed nimi czterech młodych mężczyzn. Jak na dany znak położyli palce na spustach, nie unosząc broni. Hoffmann domyślił się, że to umówiony sygnał.

Poprawił ustawienie lunety i skierował lufę w głowę Vasqueza, w punkt położony między brwiami.

– Już dostałeś tyle, ile chciałeś.

– To ty tak uważasz. Ja twierdzę inaczej.

– Ostrzegam cię, *Il Capitano*.

Temperatura dwadzieścia siedem stopni. Hoffmann przyłożył dłoń do lunety. Bezwietrznie. Ujął małe pokrętło między palec wskazujący a kciuk. Odległość dziewięćdziesiąt metrów. Przekręcił, ustawił na innej kresce.

TPH jeden. Transport w prawo jeden.

Obiekt na celowniku.

– Ostrzegam cię, Vásquez… sam wiesz najlepiej, że w dżungli nietrudno o wypadek. Dlatego posłuchaj, co ci powiem: nie dostaniesz ode mnie ani grosza więcej.

Hoffmann obserwował przez lunetę, jak Vásquez marszczy czoło i ściąga brwi. Właśnie usłyszał wyraźną groźbę, więc od razu zareagował.

– No cóż… w takim razie…

Jego pewność siebie i opanowanie – cechy, którymi emanował jeszcze przed chwilą – w jednej chwili zamieniły się w agresję.

– …konfiskuję transport.

Hoffmann wiedział, co się za chwilę stanie. Coś, czego nie chciał. Przyłożył do spustu prawy palec wskazujący. Nie może

zawieść. Musi przeżyć. Oficjalnie jest tu po to, żeby chronić El Mestizo. On w to wierzy. I niech tak zostanie.

Oddychał równomiernie i spokojnie, przez nos i usta. Czuł, jak ogarnia go spokój, był w pełni opanowany. Zabił siedmiu ludzi, w tym pięciu, od kiedy zjawił się w tym kraju. Tego wymagała sytuacja. Musiał to zrobić. Nie mógł pozwolić, żeby jego prawdziwa tożsamość wyszła na jaw.

Ty albo ja.

A ponieważ bardziej zależy mi na sobie niż na tobie, wybieram siebie.

Ludzie, których zabijał, żyli z handlu narkotykami i stopniowo wysysali z innych życie. Na przykład taki Vásquez – zwykły urzędnik państwowy, oficer armii kolumbijskiej. Zachowywał się jak wielu innych. Dostosował się do systemu i żył z łapówek.

– Twoja ciężarówka należy do mnie…– Vásquez był uzbrojony, przez lewe ramię miał przewieszony karabin automatyczny, przy prawej kieszeni spodni wisiała kabura. Nagle szybkim ruchem wyciągnął z niej rewolwer i przyłożył El Mestizo do skroni. – A ty jesteś aresztowany.

Głos kapitana docierał do Hoffmana słabiej niż przed chwilą, jakby coś ich nagle rozdzieliło. Pojawiły się głośne, metaliczne kliknięcia. Vásquez odciągnął kurek. Bębenek lekko się obrócił, pocisk znalazł się w lufie.

Wdech, wydech.

Hoffmann wiedział, co robić. Działał automatycznie. Był w swoim świecie, czuł się w nim bezpiecznie. Strzał, trafienie. Bez zbędnego przelewu krwi. Za każdym razem wystarczyło zabić przywódcę, a wtedy reszta musiała myśleć o sobie, ustalić, skąd nadleciał pocisk, ukryć się.

– Nikt nie będzie przykładał mi broni do głowy.

El Mestizo mówił cichym głosem, prawie szeptem. Nagle, mimo przytkniętej do skroni lufy pistoletu, odwrócił się. Na skórze pozostał mu okrągły, czerwony ślad.

– El Sueco.

Mówiąc to, spojrzał w kierunku ciężarówki, w której został Hoffmann.

– Teraz.